PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 19. *Warszawa, 9 maja 1914.* Widok 3.

Na okres letni.

Przed dwoma laty wskazywaliśmy już na łamach *Prawdy* niebezpieczeństwo, jakim przyszłości naszego bytu narodowego zagrażają nazbyt daleko idące w głąb naszą różnice między trzema dzielnicami Polski historycznej: różnice, sięgające w duszę i w charakter narodu. Zróżnicowanie psychiczne typu narodowego na trzy odmiany odrębne, w trzech odrębnych dzielnicach, jest dla nas zjawiskiem dlatego tak groźnym, że nie ma nic wspólnego ze sprawą podziału pracy; podziału, któryby swe usprawiedliwienie i sankcję w jakiejś wyższej, doskonalszej znajdował syntezie. Podział pracy zazwyczaj nie prowadzi do spotężnienia organizmu. To wszakże zróżnicowanie które na gruncie naszej dokonywa się Polski, stało się objawem przyrastania sił polskich, ale raczej skutkiem zamierania pewnych części organizmu, obok chorobliwego może przerostu innych części oraz innych funkcji.

Gdybyż każda dzielnica karmiła się owocami pracy, energji i wysiłku dwóch dzielnic siostrzanych! Gdybyż prawdą było istotną, że my, tutaj, w Królestwie, hartujemy się męką braci naszych z pod jarzma pruskiego; że tę ich mękę chłonie sercem rozwartym Galicja; że nią urasta, pogłębia się i mężnieje; że, naodwrót, i Poznań i Warszawa grzeią się w promieniach wolnych wszechnic galicyjskich; krzepią się atmosferą tamecznych swobód i praw politycznych; gdybyż chłop kruszwicki dla nas *wszystkich* był oporą wytrwania, Galicja dla wszystkich szkołą obywatelstwa, a Królestwo szkołą wielkości i męstwa!...

Niestety, przez długie lat dziesiątki dzielnica każda zamykała się w sobie; polegała tylko na sobie, nie oglądając się wcale na współbraci. Na własną rękę podejmowała politykę; na własną rękę broniła swego bytu.

Pod koniec, w dzielnicowych zamknięci granicach, dochodziliśmy już do tego, że widząc rosnące na miejscu niedobory, luki w kulturze narodowej coraz szersze, rany i tłoczenia na organiźmie narodowym coraz głębsze, zwątpiliśmy o możności nalezienia środków zaradczych i odrodczych, i zwątpiwszy o powrocie do zdrowia i do pełni sił duchowych, jęliśmy, miast leczyć chorobę, już tylko znieczulać jej objawy. Byle nie cierpieć, byle trwać bezboleśnie... Byle się oszołomić, ogłuszyć, zapomnieć... Narkotyk był przez czas pewien bohatererem i cudotwórcą naszej polityki...

Aczkolwiek nie należymy do optymistów, łudzących się nazbyt łatwo widokami pociechy, sądzimy, że dzień najgroźniejszy już przeminął. Chwila obecna jest ciężka i smutna, ale chwile najkrytyczniejsze zostały poza nami. Od dwóch lat węzły wzajemności między Królestwem a Galicją wzmogły się w sposó widoczny dla każdego. Ponad kordonem granicznym przepłynęły fale wzajemnego odczucia i zrozumienia. Żywym ogniwem związku stała się miedzy obu dzielnicemi młodzież, wyjeżdżająca z Królestwa na studja wyższe do Lwowa i Krakowa. Serdeczniej niż książka, wierniej niż pismo, przemówiła do duszy Galicjan—młodość Kró-

lestwa, zapał i wiara Królestwa! Nawzajem zaś Galicja poczyna coraz silniej promieniować na teren Królestwa. Galicjanin wyzwala się pod wpływem Królestwa z munduru austrjackiego. Polak w Królestwie pod wpływem Galicji zaczyna wyzwalać się z bezwładu politycznego, z odrętwienia ugody.

Również pewnego rodzaju ożywienie sto sunków daje się zauważyć między Galicją a zaborem pruskim. Bujne życie Galicji dalekimi promieniami oświecać zaczyna Poznań, Gniezno, Katowice.

Beznadziejnie, natomiast, przedstawia się w świetle powyższych rozumowań, stosunek między Warszawą a Poznaniem: dwie te stolice polskie, rzekłbyś, straciły siebie z oczu; wzajem zapomniały o sobie. Ustały wszelkie tętna wzajemnej między nimi wymiany prądów. Istnieją jako dwa punkty geograficzne; jako dwa ośrodki handlowe: oto wszystko. Nie zamyka ich w sobie jedno serce polskie; nie skuwa ich łukiem wspólnym jedna wiara polska. Dzięki prasie, dzięki publicystyce wiemy tutaj, w Królestwie, o twardych zapasach Poznańczyków. Oni tąż samą drogą dowiadują się o losach naszych. Wiemy o sobie, ale — nie czujemy siebie. A raczej: odczuwamy się uderzeniami telegrafu; nie czujemy uderzeń krwi w swych sercach.

Czyż mamy ręce wskutek tego bezsilnie załamywać.?

Zdaniem naszym, tam, dokąd nie dociera wpływ naszego słowa, wystąpić powinno coś od słowa bardziej żywego. Gdzie książka nie wystarcza, tam osobistym należy działać zetknięciem. Złotym mostem wzajemności między Galicją a Królestwem stała się młodzież. Ona jedna dość miała żaru, aby stopić lody zobopólnych uprzedzeń i nieufności.

A gdyby młodzież to samo wzięła na się zadanie również i w stosunkach między Królestwem a Księstwem Poznańskim? Czy ogniwo wspólności, pęknięte oddawna w ręku pokolenia starszego, nie scaliłoby się napowrót w dłoniach młodocianych i młodzieńczych?

Warto spróbować: wszak chodzi o całość i o jedność duszy, o całość idei narodowej!

Oto rozkwita wiosna; niebawem rozpoczną się w szkołach ferje letnie. Na okres ferji podczas miesięcy letnich Francuzi wysyłają dzieci swe i młódź dorastającą do Anglji; Anglja dziatwę kieruje do Francji: przez wymianę taką oba kraje zyskują najpewniejszą rękojmię utrwalenia względem siebie *entente cordiale*, już nie w drodze orędzi dyplomatycznych, ale przez drogi wspomnień, rytych w sercu: troskę o zgodę zobopólną powierzają nie pieczęciom kanclerskim, ale bezpośrednio sercom i duszom ludzkim. Dwa te narody od dzieci uczą się wzajem rozumieć siebie i szanować!

Dlaczegóżbyśby nie mieli jąć się sposobu podobnego Anglikom i Francuzom, którym chodzi tylko o pogłębienie kultury swych krajów i utrwalenie na zgodzie opartego bezpieczeństwa, gdy nam, chodzi o rzecz ważniejszą: o byt narodu, o duszę narodu?

Praktyczne wykonanie tego pomysłu musiałoby stać się przedmiotem osobnego opracowania; możeby nawet pociągnęło za sobą ko nieczność powołania do życia jakiegoś organu, jakiegoś biura pośredniczącego lub choćby tylko porozumiewawczego między obu dzielnicami. Jakiebykolwiek jednak były trudności sądzimy, że ich przezwyciężenie opłaciłoby w wynikach swoich wszelkie ofiary i koszta.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Fałszywy krok. II. Podwójne dno świadomości. III. Pawie i papugi. IV. Kto zełże lepjej? V. Kopytkowe.

I. Władysław Reymont jest gwiazdą pierwszej wielkości w plejadzie naszych pisarzy, co nie znaczy bynajmniej, by posiadał zalety skończonego męża stanu.

To też niedobrze się stało, że bawiąc obecnie nad Newą, wdał się w rozhowory polityczne z jakimś petersburskim sylfem. Mieliśmy prawo więcej wymagać powściągliwości i samowiedzy od autora *Chłopów*; wszyscy wielbiciele jego niezwykłego talentu niemile zostali zdziwieni treścią wywiadu, zamieszczonego w *Birż. Wied.* gdzie między innemi w usta Reymonta takie włożono słowa:

— Mój pobyt krótki w Petersburgu był przyjemny dla mnie choćby dlatego, że akurat wtedy urzeczywistniło się jedno z naszych skromnych wymagań narodowych, omal nie jedno z marzeń.

Wie pan, z jakiem wytężeniem czeka Polska ustawy o samorządzie miejskim, z jakiem niewąt-

pliwem uczuciem ulgi będzie ona powitana. Niema co ukrywać, że w jakiejkolwiek formie będzie ona dana, nawet w tak skromnej, w jakiej przeszła, będzie ona najważniejszym czynnikiem rozwoju. Wszak właściwie mówiąc, nie prosimy o żadne przywileje, nie chcemy obciążać skarbu, nie prosimy o zapomogi i t. p. chcemy tylko jednego: aby nie przeszkadzano naszej pracy.

Nasza inicjatywa społeczna, nasza dojrzałość gospodarcza są niewątpliwe: dusimy się z braku samookreślenia w naszych sprawach miejskich; oczekujemy dobroczynnych wyników nowego porządku w sensie zastosowania owocnego energji społecznej.

Wogóle należy powiedzieć, że nie bacząc, iż ręka władzy bywa ciężka i nasze położenie w państwie nie jest do pozazdroszczenia, jednak lżej się oddycha w Polsce teraz, niż dawniej; i pod tym względem nie możemy nie uznać skutków szlachetnych dążeń wolnościowych narodu rosyjskiego».

Jako się rzekło, zdolności politycznych Reymont nie posiada. Szkoda, że nie posiada również cennej zalety uświadomiania sobie własnych niedostatków. To by go ustrzegło od wygłaszania poglądów, które budzą niemiłe zdziwienie. Nie chcąc wyrządzać afrontu głośnemu pisarzowi, powstrzymamy się od dalszych w tej mierze uwag; dość, że *Dziennik Petersburski* tłómaczy mu pobłażliwie, że «łudzić drugich i siebie, jakoby obecnie u nas lżej się oddychało — nie można i nie należy».

Fałszywy krok Reymonta na ślizkim terenie wywiadów politycznych niechaj będzie ważkiem ostrzeżeniem dla wszystkich mieszkańców polskiego Parnasu, których rączy Pegaz poniesie nad Newę i zetknie z tłumem wywiadowców; niechaj panna Kawecka oszczędzi nam swych głębokich spostrzeżeń o wyodrębnieniu Chełmszczyzny, a pan Kuryło, niewątpliwie zdolny choreograf, zachowa dla siebie cenne swe zdanie o skupie kolei prywatnych przez państwo. Tylko pod tym warunkiem panować będzie nadal niezmącona harmonja pomiędzy tymi wybrańcami bogów a gronem ich wielbicieli.

II. Warszawskie towarzystwo psychologiczne, zamiast sławić etykę Talmudu, co nie jest chyba dlań odpowiednim polem dociekań, powinno raczej przedsięwziąć szereg niezmiernie ciekawych i budujących studjów nad psychiką współczesnych Żydów pozornie «nic wspólnego niemających z żydostwem», jak to twierdzić zwykli z komiczną emfazą, gdy tymczasem każdy ich krok dyktowany jest z głębin ducha twardym i nieomylnym nakazem instynktu nawskroś żydowskiego. Dzięki czujnemu temu suflerowi każdy z tych osobników bezwiednie recytuje rolę ze sztuki, wystawionej na scenie świata przez hebrajskiego genjusza Rodzaju i granej ze zmiennem powodzeniem w ciągu kilka tysięcy lat.

Świadomość tych bezwiednych aktorów ma podwójne dno: z wierzchu ściele się tam gruba warstwa «pryncypiów» i frazesów liberalnych, postępowych, humanitarnych, tudzież wolnomyślnych, na spodzie zaś przyczaił się instynkt narodowy żydowski, często niewidoczny oczom właściciela tego bagażu, zwłaszcza gdy nie grzeszą bystrością umysłu. Dzięki tej szczególnej strukturze, zrozumieć dopiero można nader dziwne zjawisko: nigdy nie zdarzyło się mianowicie, by postępowy sposób myślenia, tak nieubłaganie surowy, tak ściśle krytyczny wobec przywar i przesądów aryjskiego otocza, doprowadził do niemiłych dla żydostwa wniosków. Nigdy się nic podobnego nie zdarzyło i zdarzyć nie może, bowiem całą orjentacją duchową tych osób z podwójnym dnem świadomości włada nie to, co leży na wierzchu w świetle kultury nowoczesnej, lecz to, co kryje się w głębi, w mrokach tradycji talmudycznej.

A tradycja ta czuwała od wieków i czuwa po dziś dzień, by wybranemu ludowi nie stała się krzywda. A tak namiętnie czuwa, że nie cofnęłaby się przed srogimi karami na tych wszystkich Żydów-nacjonalistów, którzy zbytnią pychą, nieostrożnością, lub niezręcznym zachowaniem się mogą ściągnąć na Izraela jakoweś przykrości.

To też gdy niekiedy z tego środowiska padają złorzeczenia w stronę nacjonalistów żydowskich — stawianych nawet czasami na równi z polskimi, co ma być ostatnim szczeblem hańby — nie znaczy to bynajmniej, że mamy tu do czynienia z buntem przeciw Genjuszowi Rodzaju. Przeciwnie — to właśnie rzeczony Genjusz, bojaźliwie i oględnie schowany w podwójnym dnie świadomości, żżyma się i sarka na nieopatrzne i przedwczesne wyjście ludu wybranego z rozwiniętą chorągwią Sjonu na wielką widownię świata. Złorzeczy zapaleńcom, ale sam obziera się niespokojnie: *de sua re agitur*... Niekiedy próbuje wmówić w innych i w siebie, że pała równą niechęcią do «wszelkich nacjonalizmów», ale dość sięgnąć na dno sumienia, by przekonać się niezbicie, że nacjonalizm aryjski jest dlań wstrętny, bo Żydom zagraża, a nacjonalizm żydowski niemiły tylko dlatego, że potęguje wzrost — owego pierwszego nacjonalizmu. *Un point — c'est tout.*

III. Już to wogóle niebrak u nas giestów papuzich i pawich. Podczas gdy galicyjscy nasi rodacy biegną do Krynicy ze swymi chudymi mieszkami, żeby małpować miljonerów, siejących złoto na Jasnym Brzegu, warszawscy «lotnicy i automobiliści» wszczynają znów doroczną wrzawę dokoła swoich «reidów» samochodowych, bowiem na Zachodzie podobne uroczystości szerokim cieszą się rozgłosem.

Niestety! z automobilizmem naszym dzieje się to samo, co z awjacją. Po kilku dość nie-

fortunnych wzlotach dano pokój tej zabawie, której koszta poniosła książęca szkatuła; obecnie rzesza naszych «lotników» ćwiczy się wyłącznie w podejmowaniu bankietem i toastem różnych napowietrznych gości... I zagranicą nie powodzi się polskim lotnikom: świeżo do długiej listy żałobnej przybyły dwa polskie nazwiska.

Nie na heroizmie nam zbywa, lecz na technice; samolot jest powietrzną fazą samojazdu, Polska zaś nie wyszła jeszcze z pierwotnej fazy hippomobilizmu; zanim więc jarzmić powietrze, nauczmy się wprzód wyrabiać własne samochody. Gdyby tak postąpił Rozłucki, nie znalazłby się może nieprzytomny i nagi na pancerniku niemieckim, wobec wrogów spokojnych i poprawnie odzianych, co jest największym upokorzeniem dla męczczyzny.

Gdy więc nasi «lotnicy» nadziewają truflami zachodnich swoich kolegów, warszawscy znów «automobiliści» pobierają spore komisowe od zachodnich firm za każdą sprzedaną sztukę. Do tego bowiem sprowadza się «automobilizm» tutejszy. Do tego też redukują się «reidy» i konkursy. Za granicą, w zapasach tego rodzaju, wchodzą w grę czynniki bardzo poważne, walczą ze sobą zajadle potężne ośrodki przemysłu we Francji, w Niemczech, we Włoszech, ubiegają się tam o palmę pierwszeństwa różne patenty motorów, różne systemy opon, różne pomysły coraz to nowych ulepszeń, a wobec tego wygrana wyraża się nieraz w przesunięciu kilkuset miljonów na korzyść lub na niekorzyść danego kraju. Nic też dziwnego, że prócz sportsmenów i snobów, jeszcze mnogie tysiące ludzi śledzą z zapartym oddechem przebieg takich zapasów i wówczas nie jest bagatelą, kto zwycięży: niemiecki *Benz*, francuski *Peugot*, czy włoski *Fiat?*

U nas — kogóż to może obchodzić?

Jedynie garść pp. przedstawicieli firm obcych, którzy też gorliwy i wyłączny biorą udział w tych uroczystościach sportowych, będących nikłą i smętną parodją.

Bo przecież Polak dotąd nie umie zbudować samochodu własnymi dłońmi i własnym przemysłem, choć w jednej fabryce Forda, w Detroit, pracuje przeszło trzy tysiące polskich robotników.

Cały więc ten sławetny «reid», o którym tak rozpisuje się prasa, nie wart właściwie funta kłaków. Jedyne, co nas obchodzi bliżej, to wiadomość, że wskutek odpowiednich starań, odpowiednie władze przyrzekły doprowadzić szosy do znośnego stanu, co zakrawa zresztą na bajkę.

IV. Endecja postanowiła popełnić takie kłamstwo, ażeby całą Polskę wprawić w zdumienie; tak zełgać, ażeby po niej nikt już lepiej zełgać nie mógł; napisała tedy w n-rze 122 swej *Gazety Warszawskiej:*

«Przy wyborach do czwartej dumy w stolicy kraju wszystkie właściwie grupy polityczne przeciwstawiły się demokracji narodowej, a głównym gruntem, na którym to starcie nastąpiło, stała się kwestja żydowska».

Pan Dmowski, zdanie to wygłosiwszy jednym tchem, powiódł okiem tryumfalnym dokoła, wyzywając każdego, ktoby zełgał lepiej. Atoli efekt tego powiedzenia był nader nikły. Nikt nie osłupiał.

— Dlaczego nie zdumiewacie się, słysząc, co ja mówię?

— Eh! panie D...! Gdy kłamiesz, nikogo to już nie dziwi. Ot, gdyby ci się kiedy udało prawdę powiedzieć, wtenczas zdziwiliby się wszyscy!

V. W jednym z kwietniowych n-rów «Iskry» sosnowickiej znajdujemy w «odpowiedziach redakcji» dokument następujący: «Ks. Proboszczowi w G. Za kazanie o *Iskrze* ślicznie dziękujemy. Prosimy jeszcze, gdyż po pierwszym kazaniu przybyło nam w okolicy Goł. tylko 43 prenumeratorów. Trzeba silniej, a i my o ks. nie zapomnimy.

Winszujemy prenumeratorom «Iskry»: każdemu z nich powyżej wypisano dyplom na rasowego barana; ciekawa jedynie rzecz ile kopytkowego ksiądz proboszcz otrzymuje od sztuki?

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury politycznej.

III.

J. MILEWSKI: Zagadnienie narodowej polityki.

Książka wprowadza nas w łagodny klimat umiarkowanego konserwatyzmu. W świat półtonów, półbarw i półśrodków. Autor nie widzi, nie chce widzieć w obrazie rzeczywistości naszej kontrastów ostrych, plam złowrogich, starć nieubłaganych. Czuje on rzeczywistość, ale owija ją w watę, poprzez miękką watę bada. I krew dostrzega, ale poprzez mleczną szybę; nieraz więc to, co jest w nas krwawe, przedstawia mu się za mlecznym szkłem różowo; to, co nas drapieżnymi dusi szponami, jego tylko — łaskocze.

Gdy w rozdziale pierwszym («Nasze położenie») autor dokonywa bilansu naszych sił, naszych zysków i strat w ostatnim świerćwieczu, imponuje nam sumiennością obrachunku i rozległością wejrzenia.

Ale gdy w rozdziałach końcowych («Cele narodowej polityki» — «Metoda i środk

działania») występuje ze «skutecznym rad sposobem», aby to, co dobre utrwalić; to, co zachwiane umocnić, — widać, iż zjawisk, dostrzeżonych przez się, nie docenia; z przesłanek, przez się ustalonych, wniosków należytych nie wysnuwa.

Weźmy, dla przykładu, sprawę robotniczą.

Pan Milewski zasadniczo uznaje doniosłość tej sprawy; uznaje obowiązek czynnego współudziału ze strony całego społeczenstwa celem poprawy bytu robotników. Łączy tę poprawę z podniesieniem wogóle warstwy ludowej, z potrzebą wytworzenia w Polsce zasobnej warstwy średniej, która wszędzie w Europie stanowi ostoję siły narodów ucywilizowanych. Autor również ogarnia cały obszar spustoszeń, wyrządzanych przez emigrację sezonową i emigrację zaoceanową: widzi w niej groźny symptomat niedoborów w naszej kulturze społecznej i ekonomicznej. Ale widząc to wszystko, sprawia jednocześnie na czytelniku wrażenie, jakby tego wszystkiego nie rozumiał. Miast rodaków wzywać do zażegnania niebezpieczeństwa, usiłuje dowieść, że można się od nich odżegnać. Umie on wyliczać fakty, ale nie umie się z nimi liczyć. Gdy, zachęceni i zjednani sumiennym wykładem rzeczy, oczekujemy od autora równie sumiennej rady, spotykamy się z frazesem kaznodziejskim.

Czymże bowiem, jeśli nie zwrotem kaznodziejskim, jest powoływanie św. Pawła na arbitra w zatargu między robotnikiem a kapitalistą? Słowa św. Pawła *godzien robotnik zapłaty swojej*, mogą być ozdobą kazania odpustowego, ale czyż dają jakąkolwiek wskazówkę istotną dla życia? «Dla poprawy materjalnego bytu robotnika, — pisze autor *(str. 269)* — ważnem jest podniesienie jego fachowych uzdolnień, aby umiał i mógł więcej zrobić, mniej zużywał nadaremnie sił, mniej niszczył surowca czy narzędzi. To jest zadaniem pracodawcy». Bezwątpienia. Zgadzamy się z tym, że jest to zadanie ważne. Wszelako djabelnie jednostronne. Wyłuszczając je, autor pominął całkiem różnicę dzielącą człowieka od maszyny. «Wyższa umiejętność i możność zrobienia więcej» aby, jak chce autor, «mniej zużyć surowca i narzędzi» — zali nie w tym kierunku zmierza doskonalenie maszyn? Zali to ma być jedyne łożysko rozwoju robotnika? Więc wartość człowieka miałażby się sprowadzać do wspólnego mianownika z wartością maszyny? Ależ, w takim razie, autor powinienby oddać opracowanie programu robotniczego w ręce... matalurgów i elektrotechników. Zamiast tego, konsekwentnego dla się kroku, P. Milewski usiłuje wpłynąć na całe społeczeństwo, aby zwracało swój popyt przedewszystkim do towarów krajowych: przez to,— tłomaczy, podniesie się popyt na pracę krajowych robotników i umożliwi się pracodawcom, mającym większy odbyt, przyznanie podwyżki płacy. Znowu uwaga najzupełniej słuszna, sama przez się. Jako środek, wszakże, mający służyć ku rozwiązaniu konfliktów pracy z kapitałem, zdumiewa niemniej krańcową jednostronnością, przypisując inicjatywę w poprawie doli robotniczej, wyłącznie czynnikom pozarobotniczym, zewnętrznym. A sami robotnicy? Czyż biernie mają czekać skutków zewnętrznej opieki i troskliwości? «Biada, — woła p. Milewski, niczym proboszcz na kazalnicy,— biada gdyby tylko interes był pobudką czynów: gdyby tylko klasowe istniały organizacje, gdyby warstwy robotnicze nie spotykały życzliwych serc i chętnej współpracy, a bezinteresownej». Życzliwe serca i dobre chęci, oczywiście wszędzie są pożądane. Któż jednak uwierzy, aby były dostateczną rękojmią sprawiedliwego podziału praw i obowiązków? Na straży naszego interesu stać winna nie cudza szlachetność, bezinteresowność lub życzliwość, ale siła nasza własna i naszych własnych praw poczucie. Jakoż robotnikom dążenia do rozwoju sił własnych i do powzięcia świadomości własnych sił godziłoby się wzbraniać? Tego, co jest między interesem robotnika a interesem fabrykanta naprawdę sprzeczne, nie zamaskują żadne choćby «najżyczliwsze» w stronę proletarjatu uśmiechy. Ale właśnie szczerze, uczciwe i odważne tego momentu *sprzeczności* obnażenie, uwydatni zarazem cały szereg czynników *wspólności*, z niezaprzeczoną siłą wiążących dobrobyt klasy robotniczej z dobrobytem handlu i przemysłu krajowego. Stosunek uczciwy między kapitalistą a robotnikiem mógłby powstać dopiero na podstawie zaspokojonych żądań, na poziomie zobopólnie osiągniętych zadosyćuczynień. Poniżej tego poziomu, wszelkie ze strony kapitału lub jego apologietów uśmiechy, w stronę robotników rzucane, robią na nich wrażenie drapieżnej kokieterji, wrażenie ponęty, mającej zwabić zdobycz w zastawie sidła, i bardziej jątrzą sprawę, niźli koją.

Tę samą połowiczność, która nas razi na polu społeczno-ekonomicznym, ujawnia autor i w dziedzinie stosunków czysto politycznych: tam, szczególniej, gdzie chodzi o zarysowanie postawy naszego narodu wobec Europy i wobec państw, władających na ziemi polskiej.

Z mocnego i słusznego założenia, że my, jako naród, sami na sobie tylko polegać możemy i powinniśmy, autor, poprzez szereg ogniw pośrednich, wysnuwa wniosek, który ani mocy ani słuszności w sobie nie zawiera. Powiada: bądźmy silni, bo o przyjaźń silnych

wszyscy starać się będą: «w nas samych tkwi jądro naszej siły!»

Ale jednocześnie mówi: «dla wrogów naszych już sam fakt zajęcia przez nas legalnego stanowiska jest bardzo nie na rękę, utrudnia im walkę przeciw nam *(str. 307)*». Czyli: autor mniema, że samym faktem legalności naszych działań skutecznie możemy nieprzyjaciół szachować. Cóż to znaczy? Czyż nie to, że nieprzyjaciół swych powinniśmy rozbrajać pokorą, zjednywać posłuszeństwem? Jest to kancepcja, zasadniczo nas, Polaków, degradująca. Sprowadza nas ona na poziom jakichś dziatek grzecznych, których właśnie z powodu nieposzlakowanej grzeczności nikt nie będzie miał serca ukrzywdzić. A przytem jest to koncepcja fałszywa. Spójrzmy bowiem co się dzieje od szeregu lat w Prusiech. Czy jest coś, coby można, ze stanowiska lojalności bądź wobec tronu, bądź wobec państwa, zarzucić braciom naszym z Wielkopolski? Czyż nie kłaniają się monarsze? Czyż nie uchwalają podatków na armję? Są legalni na jawie i są legalni we śnie. Ich książki są legalne, jak papier stemplowy. Ich dusze są legalne, jak monety z herbem państwowym... I cóż się okazuje? Przeciwko tym piastunom lojalizmu pcwołuje się do walki... bezprawie. Aby wyważyć ich z ziemi, gwałci się to, co jest dla Niemca najświętsze: prawo własności. Polacy uchwalają pomnożenie marynarki niemieckiej; Niemcy, wzamian za to, uchwalają wywłaszczenie rodowych majątków polskich pod Gnieznem i Poznaniem. Panu Milewskiemu się zdaje, że my Polacy powinniśmy przyświecać innym, silniejszym od nas, wzorami grzeczności i legalności: sądzi on, że niewinność nasza będzie nam puklerzem. Niestety! niewinność bywa jedynie smakowitą przyprawą ofiary, budzącą tym większą pożądliwość w napastnikach. By uniknąć nieporozumień, podkreślamy tutaj, że bynajmniej, ze swej strony, nie jesteśmy wielbicielami spisków, organizacji tajemnych i, wogóle, zdajemy sobie sprawę ze stron szkodliwych pracy nielegalnej: wszak ubiegłe lata rozwarły przed nami straszliwą gehennę zwyrodnienia tej pracy: od Azefa do Bakaja, od Bakaja do Sukiennika. Polacy przytem nie są skłonni do spisków, nie umieją organizować się potajemnie i nie mają tak dojrzałej tradycji knowań przeciwpaństwowych, jaką mieli np. Włosi. Ale co innego jest wyzyskiwanie całego pola swobód politycznych dla pracy narodowej, a co innego wiara, że samym przestrzeganiem lejalizmu wytrącamy oręż z ręki nieprzyjacielskiej. Z tego, że my od pewnych rzeczy będziemy się powstrzymywać, nie wynika jeszcze, abyśmy mogli być spokojni, że inni będą się względem nas krępować. Ci «inni» względem nas posuwają się tak daleko, jak daleko sięga ich siła; siła, nie zaś — uczciwość, lub prawo. Gdy na to siła ich pozwala, sięgną, jak Prusacy, ponad własnym kodeksem cywilnym: owszem kodeks swój zwalą nam na głowę, jak burzący pocisk. I z ustaw sprawiedliwości także uczynić można narzędzie mordu. I krzyżem świętym także można czaszki kruszyć.

Cóż więc nam pomoże, że oburącz najwierniej praw i ustaw trzymać się będziemy, gdy prawa te nas kąsają, gdy te ustawy na zgubę naszą ukuto? Czyż człowiek ma za pastwę służyć prawu, czy też prawo służyć powinno człowiekowi? Mamyż przeto spokojnie ginąć, aby tuczyć sobą czyjeś żarłoczne ustawy?

Oto pytania, z tragicznych antynomji naszego bytu wyrosłe, domagające się odpowiedzi stanowczej, a przez p. Milewskiego omijane, tłumione, niedopuszczane do głosu. Rzekłbyś, na myślach jego ciąży jakieś pęto, które do właściwych konsekwencji rozwinąć im się nie pozwala. Jest to pęto doktryny konserwatywnej. Aczkolwiek jednak autor przeważnie błędnie rozumuje, to przecież prawie zawsze słusznie i bystro widzi. Odrzucając przeto jego wnioski, z uznaniem przyjąć należy wiele jego spostrzeżeń. Nie można się jego książką zbudować; ale można się z niej wiele nauczyć.

HELION.

Skry.

Wstydliwość ludzi «przyzwoitych» obraża moje poczucie wstydu.

***

Przedmiotowość: podmioty idące razem.

***

«Przepraszam» wyrzekł tonem tak obraźliwym, iż chciano mu wymierzyć policzek.

***

Zazdrość i próżność są to korzenie dobrobytu społecznego.

***

Ze skrzyżowania przesądu z aparatem informacyjnym rodzą się dziennikarze.

ST. BACZYNSKI.

Kobiety.

WIOSNA.

Pierwsze dni, wątpliwe dni dalekiej wiosny.

Plamy słoneczne, jak zwiędłe liście na cichej drodze. Na ławce cień skulony, zapatrzony w słońce. Oczy ogromne, jak głębokie aleje pustych ogrodów, bezmyślnie poddają się pieszczotom światła.

Twarz zmartwiała w osłupieniu radosnem tężeje jeszcze bardziej i wyraz przybiera skończonego smutku.

Dalekie dni prawdziwej wiosny nieszczere sieją światło.

Skromna spódniczka, nieskończenie biedne pończochy i wykrzywione obcasy starych trzewików — a przytym te oczy przesycone promieniami złudnej wiosny.

Witaj mi, siostro, w mętnym smutku i oszustwie majaczącej wiosnę duszy, kimkolwiek jesteś.

MIJANIE.

Zniknęłaś oczom na dnie zamroczonej studni korytarza chłodnej bramy. Spojrzałaś, mi w oczy sennie i przez moment zginął czas w myśli mojej.

Spłynęłaś się z cieniem migotliwego wnętrza nieodzyskana, na zawsze.

Kim jesteś, wiotka pani, tęsknotą pachnąca i smutkiem? Jakie są myśli twoje?

Kto czeka na ciebie, zanim przyjdziesz i tęskni nim odejdziesz?

Przelatują gołębie dymem białym, tęczą piór migocą, i topnieje jeden po drugim w pyle światła. Giną. Nie jest·żeś jednym z nich?

Listki akacji złotaw/m przesypane pyłem nad głową mi więdną szaloną, i chłodny na czoło sypią okwiat. Czyż nie jest to pieszczota twoja?

Chorowód dzieci otacza mnie śpiewny, zabawy słyszę wesołe okrzyki.

Szczęście dnia śmieje się do wtóru głosom dzieci.

Czyż nie jest to uśmiech twój i radość twoja?

Choć wiem, że zapomnę, tulę tęsknotę potobie i myśl wstrzymuję chyżą u smukłych kolan twej dojrzałej postaci.

Gołębie, kwiat akacji i uśmiech dzieci na chwilę stały się tobą.

L. BRUNN.

Fałszywa demokracja.

Z CYKLU: «CHORA RZECZPOSPOLITA».

1.

Trzecia republika francuska rozpoczyna czterdziesty czwarty rok życia; po wyborach ostatecznych d. 10 maja skład Izby Posłów zostanie odnowiony po raz jedenasty.

Nowy ten okres przypadł na chwilę krytyczną; groza wojny rośnie dokoła granic, strzeżonych z napięciem wszystkich sił, a wewnątrz kraju wybuchła gwałtowna burza dokoła symbolicznej grupy, jaką tworzy pani Caillaux z dymiącym rewolwerem w dłoni, nad zwłokami Gastona Calmette'a.

Francuzi, obdarzeni wybitnym zmysłem symetrji, lubią układać wypadki w rytmiczne cykle dziejowe. Przypomniano więc sobie zbrodnię księcia du Choiseul de Praslin, para Francji, który w r. 1847-ym zabił swoją żonę, wywołując wielkie wzburzenie w szerokich kołach opinji, co przyśpieszyło pono upadek monarchji lipcowej niemniej skutecznie, niż reforma wyborcza; przypomniano sobie również — i tu ściślejsza zachodzi analogja — dziki postępek jednego z Bonapartów, który zabił dziennikarza Wiktora Noir'a w dniu zamierzonego pojedynku swego z Henrykiem Rochefortem. Było to w r. 1869 -ym; niebawem runęło drugie Cesarstwo wśród gromów Sedanu, we krwi i w łunach Komuny.

2.

I dziś niebrak złowrogich przepowiedni: trzecia republika pono resztkami sił goni. Coraz dźwiga się ktoś na krańcach obozów politycznych i w pozie Kassandry zwiastuje niebywały przewrót. *Action Française*, buńczuczny organ ligji monarchistów, czyni to już od lat czternastu z niesłabnącym uporem, z furją zapalczywą, która coraz większą zwraca uwagę; jeden z wybitnych *leaderów* skrajnej lewicy, poseł i miljoner Marcel Sembat wydał w r. z. książkę z wiele mówiącym tytułem: *Faites le roi, sinon faites la paix!*

W styczniu zaś r. b. socjalista poseł Roux Costadau wystąpił na pierwszej kolumnie *Matina* z bardzo ujemną i wielce pesymistyczną oceną bilansu trzeciej republiki; w zamęcie, jaki wynikł ostatnio dokoła skandalicznej sprawy Monisa i Caillaux, Maurycy Barrès wygłosił słowa pamiętne: *jesteśmy u kresu zgnilizny.*

3.

Przeziera zapewne z tych powiedzeń kolorystyczna przesada goryczy lub nienawiści, bowiem Francuzi, zwyczajem wszystkich ludów romańskich, wnoszą w życie polityczne niepowściągliwy temperament, z trudnością dający nagiąć się do metod parlamentarnych; nie trzeba jednak lekceważyć tych oznak rozstroju, który niewątpliwie istnieje i pogłębia się z każdym rokiem; obaczmy więc, czy wynika on z urządzeń politycznych czy też tkwi głębiej w pokładach duszy zbiorowej; innemi słowy, sprobujmy dociec, czyli chora jest Francja, czy też republika? czy ludzie tam wypaczyli demokratyczny sposób rządzenia, czy też ustrój demokratyczny zły wywiera wpływ na obyczaje? a wreszcie zadajmy sobie pytanie, czy pod zwierzchnią osłoną doktryn i urządzeń quasi-demokratycznych nie broi nad Sekwaną odwieczny duch *ancien regime'u*, wcielony w radykalno-socjalnych ministrów, senatorów, prefektów i posłów?

4.

Charakter zbiorowy odbija się równie dokładnie w dziejach narodu, jak psychika jednostki w kolejach jej życia. W ciągu zeszłego stulecia widziano we Francji dwie monarchje, dwa cesarstwa, dwie republiki, trzy rewolucje, z których ostatnia w r. 1871-ym wyłoniła dzisiejszy porządek rzeczy. Wymierają kolejno weterani, którzy widzieli na własne oczy Sedan i Komunę, którzy republikę ukochali, gdy była młoda, ponętna, urocza, i do śmierci dochowują jej wiary. Natomiast młodsze pokolenie sentymentów takich nie żywi. Ceni ono ustrój republikański dla względów pozytywnych; stosunek już nie na miłości oparty, lecz na wyrachowaniu. Ta struna praktyczna dźwięczy aż nadto wyraźnie w duecie wyborców i posłów; jedna strona obiecuje złote góry w postaci reform, emerytur, zapomóg, orderów, zaszczytów, a druga przebiera w owych korzystnych ofertach. W ostatecznym wyniku rzekomy postęp demokratyczny aż nazbyt często polega we Francji na czczej licytacji haseł „lewicowych“, na długiej litanji hucznych zapowiedzi, solennych przyrzeczeń, które się nigdy nie sprawdzają, lub też w minimalnym stopniu.

Początkowo lud wierzył święcie tym syrenim głosom; był to wiek złoty radykalizmu francuskiego. Niewątpliwie wodzowie lewicy radykalnej mieli najlepsze chęci; odbiły się one, jak o mur, o budżet pancerny armji i marynarki. Reformy społeczne wymagają wielkich wydatków; tymczasem lwią część budżetu pochłania pokój zbrojny; zarówno francuska jak i angielska demokracja staje wobec trudnego dylematu: z jednej strony postęp, z drugiej bezpieczeństwo; zanim dostąpić wyższych faz rozwojowych, trzeba pomyśleć o gwarancji samego istnienia; ten wzgląd w końcu przeważa, i miljony, zamiast na różne ulepszenia społeczne, idą na wojsko i flotę. Wisząca nad światem zmora wojny, widmo pruskiej pikielhauby i pięści pruskiej, paraliżuje rozwój demokracji.

5.

Lud francuski, sceptyczny i skłonny do szyderstwa, nie uznaje tu żadnych okoliczności łagodzących.

Dalekie różne konjunktury są mu obojętne; pretensje więc i żale, drwiny i przytyki, kieruje w stronę swoich taumaturgów, którzy mu nie szczędzili pięknie brzmiących obietnic, a dziś wywiązać się z nich nie mogą. Współczesny reformator francuski jest jak niewypłacalny kupiec — oto stały refren wszelkich zarzutów, kierowanych dziś przeciw republice. Lud francuski obiera jeszcze swoich reprezentantów, ale już im nie wierzy — należy to brać pod uwagę chcąc zrozumieć obecny stan umysłów we Francji.

Parlament peroruje w próżni; naród go nie słucha i nie szanuje. Czar prysł. Celebrują kapłani w *Palais Bourbon*, ale miast niezliczonych rozmodlonych tłumów, otacza ich kupa gawiedzi. *La démocratie ricane au passage des politiciens* — twierdzi socjalista p. Roux-Costadau, który sam będąc posłem, zapewne mógł przekonać się naocznie, jak wątpliwy urok dokoła siebie roztacza.

Zasadniczy fałsz demokracji francuskiej polega właśnie na tem, że czyni ze skarbu państwa jakąś ogólno-narodową kasę pomocy, która z natury rzeczy nie może zaspokoić rozbudzonych niebacznie apetytów, ani uiścić się z olbrzymich, nieopatrznie zaciągniętych zobowiązań. A lud francuski chce widzieć nad sobą wyciągniętą opiekuńczą dłoń i sarka, gdy przestaje wyczuwać dobroczynną wszechmoc państwa.

W ten sposób czyni się republika jakimś amfitrjonem, niewyczerpanym w hojności, a dekracja schodzi na poziom klijenteli, coraz natarczywszej i wciąż niezadowolonej. Słusznie więc powiedział Henry George: Francuzi wdrożyli u siebie demokrację żebraczą. Grozi im zagłada, bo rząd nazbyt się troszczy o to, by żyli.

M. DĄBROWSKA.

O wnętrze domu — polskiego.

Nie o to wnętrze chodzi, o którem architekt i esteta tomy całe mogliby pisać, pełne nieraz świętego oburzenia.

Chodzi o to, co jest żyjącą treścią w ścianach domów polskich zamkniętą — chodzi o *polską rodzinę.*

Wszyscyśmy to słyszeli wiele razy, że ona jest ostoją i świętością Polski — „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty".

A tymczasem śród młodzieży polskiej 99-ciu na stu wynosi z domu żal, że niczego nie wynieśli, lub „żal że niema czego żałować", i dobrze jeszcze, jeśli nie zwątpienie o szlachetności, szczerości i piękności ludzkich stosunków.

Bywały ongiś po domach polskich i tragedje i konflikty i grzechy.

Ale tragedje i konflikty mogą dusze łamać lub zaciemniać ich spojrzenie — ale nie demoralizują w taki małostkowy i pospolity sposób, jak dzisiejsze zmarniałe środowiska rodzinne.

Zaś w grzechach miano jeszcze tyle godnego poczucia, że dusze młode od nich uchronić należy, i chroniono je odsunięciem dzieci od poufałości — autorytetem — dyskrecją — oddaniem ich w ręce wychowawcom cnót, — kapelanom domowym, wedle ówcześnie pojętych wyobrażeń etycznych. Wynikało to z istniejącego jeszcze mimowiednego może *szacunku dla dziecka.*

Dziś tragedji mamy nie więcej i mimo wszelkich „ach!" nie one są może najgroźniejsze dla dusz młodocianych.

Najgroźniejszą jest ta niechlujna, zmalała i zmarniała atmosfera naszego średnio inteligentnego domu, bądź śród szlachty, siedzącej na wsi, a zwłaszcza tej przeprowadzonej ze wszelkim gratem dawnej wielkości do miasta, bądź śród mieszczaństwa.

W pospolitym domu polskim *szacunek* dla dziecka, poczucie majestatu duszy młodej i wszelka wobec niej odpowiedzialność zanikły zupełnie. Dba się o pozory kultury, etyki, religijności przed służbą, przed sąsiadami—ale przed dzieckiem w domu otwiera się cynicznie całą nędzę czy to moralną, czy to kulturalną. Ono jest traktowane jak sprzęt, który może słyszeć wyzwiska, kłótnie i wszystką małość.

Oczywiście nie chodzi o to, by i przed dzieckiem zachowywać pozory — urok fałszywy prędko będzie od rzeczywistego odróżniony. Cały poziom etyczny naszych rodzin musi być podniesiony i na większą zakreślony skalę. — Nawet w grzechach, upadkach i konfliktach polscy Małżonkowie i Rodzice muszą dusze powiększyć, by nie siać tak hojnie w serca swych dzieci zabijających miazmatów drobnicy, wyrastającej do rozmiarów narodowej choroby.

Najbardziej niepojęte jest właśnie to, że w domach rodzin polskich zapomniano młode pokolenia do rzeczy *wielkich* wychowywać, i to tak fizycznie, jak moralnie. Moralnie pokolenia karleją—fizycznie niewieścieją. W domach miejskiej inteligencji jedna tylko strona wychowania jako tako jest uwzględniona — właśnie intellekt.

Jak gdyby było nam co po owym nadmiernym intelekcie bez rozwinięcia charakteru i zdolności do pracy na daleką metę, w połączeniu z dawnemi cnotami: kochania się w niebezpieczeństwach i trudnych zdobyciach.

Wobec tego wszystkiego nic dziwnego, że ludzie pohopni i prędkiej krwi a gorącego serca — szybko decydują sprawę wychowania młodych pokoleń na korzyść wychowania publicznego, a dom polski skazują na zagładę. Jabym go na odrodzenie i reformę, na długą i niezłomną rehabilitację w tem, czego zaniedbał, skazała.

To prawda, że w życiu współczesnem wychowanie publiczne coraz większą rolę odgrywa. I to prawda że ta rola zbawienna być może i powinna.

I to prawda, że wzrastającym wciąż wymaganiom pedagogji, nietylko skarlały, ale nawet najlepszy Dom Polski nie jest w stanie podołać.

Lecz nie zapominajmy, że my w Polsce wychowania publicznego nie mamy, i że nam go dziś mieć nie wolno.

To co mamy, i to co wolno, to jest zaledwie nić do nienapoczętej tkaniny.

Zatem Dom Polski musi być z konieczności — jeśliby to nawet miało nie być wymaganiem nowoczesnej pedagogji, czemś więcej niż urokiem modnej nauki piękna, czystości obyczajów i szczerej kultury. Dom polski to *instytucja,*

Czy myśmy zapomnieli, co powiedział Mickiewicz, że „Polska zstąpiła do otchłani, czyli do życia *domowego*?"

Czy macie czytelnicy w pamięci wiele takich domów, w których mieszka zstąpiona na długie mozolne wychowanie, Polska?

Z tych to domowych progów powinni wychodzić ludzie, krojeni wszyscy na wielką miarę obywateli, świadomych aż do dna swych zadań i obowiązków, odpowiedzialnych za każdą podjętą pracę, która z ich dłoni wsiąka nieod-

wołalnie w życie Polskie — baczni na tej pracy wysoki gatunek i solidność — mężni w każdej życiowej sytuacji — i gotowi oddać sprawie nieszczęśliwej Ojczyzny wszystko od życia począwszy — na najzmudniejszej pracy długich lat skończywszy.

Czy tacy z nich wychodzą?

Rzecz szczególna.

W dawnych czasach, kiedyśmy mieli własne państwo i własne instytucje publiczne — Polska stała nie tyle owemi instytucjami, ile właśnie powagą i zacnością Domu rodzinnego.

W społeczeństwie, o którem pisze Rej że „żadna banda, a snać i cygańska nie jest w takiej niedbałości, a snać jest w lepszym opatrzeniu niźli sławne a zacne to państwo nasze", w kraju gdzie wyrokami sądów podbijano sobie delje — i królewskie dekrety lekce ważono — rodzina spełniała funkcje instytucji obywatelskich i narodowych. O niej pisze Łoziński, że „spełniała misję wyrównania, godziła sprzeczności publicznych i prywatnych interesów; była bodźcem i hamulcem zarazem; bodźcem swoją tradycją i ambicją, hamulcem swoją poczciwością i karnością... Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicznych.

Dziś właśnie, gdy nie mamy państwa i instytucji własnych, ta siła etyczna i ten narodowo-obywatelski charakter domu rodzinnego, bardziej niż kiedykolwiek byłyby potrzebne. — I właśnie tego zbrakło.

Pozostała tradycja faktu, ale fakt sam, treść znika powoli.

O iluż domach w Polsce możemy powiedzieć, że się w nich obywatele wychowują że są ogniskami twórczej polskości?

Gdybyśmy chcieli notować te tysięczne bezwiedne powiedzenia młodych, świadczące o tem „czem skorupka za młodu nasiąka" w domu polskim -- musielibyśmy nieraz zadrżeć nad przyszłością młodych pokoleń.

Dom polskiej rodziny winien dawać dzieciom, które zeń wychodzą, to wszystko czego im życie publiczne tak boleśnie dziś skąpi.

Tego nie może nam jeszcze zabronić nikt— byśmy młodzież i dzieci wychowali w domu na takich ludzi, jakich dawniej kształciła dla Rzeczypospolitej wojna, służba ojczyznie i szeroka wolność.

Narzekamy na to, że zbyt mały jest dziś wpływ szkół polskich na poziom charakterów i obywatelskości naszej młodzieży.

Wiemy jednak że wpływ ten mocno jest w kluby biurokratyczne ujęty — nie przez nas.

Co gorzej. Może dla tego właśnie że wiemy i tak bardzo narzekamy, nie czynimy nic więcej — nie tworzymy nowych źródeł owego wpływu.

Jesteśmy bowiem przedewszystkiem leniwi do tego wszystkiego, co nie jest dziełem jednej chwili, i co się na długą pracę zanosi.

Wolimy powiedzieć, że nie wolno, niż odszukać tysiąca miejsc, gdzie praca przez nas i tylko przez nas samych poniechana została.

Takiem miejscem jest Dom Polski.

W jego scianach ma na nowo zakwitnąć myśl odrodzenia i objawić się w wychowanych tam ludziach silnych i przygotowanych fizycznie, bohaterskich w niebezpieczeństwie, a twardych w pracy — wiernych wobec Polski i niezłomnych gdy chodzi o jej sprawę.

J. POMIRSKI.

Odwieczny motyw satyry.

Od wieków ludność polska składa daninę duchowieństwu. Zato duchowieństwo dań składa — satyrze polskiej. Przez swoje liczne wady, przez swoje nadużycia, przez niecnoty, dostarcza ono żeru ulubionego satyrykom polskim już od pięciu stuleci. Ksiądz w okresie złotym naszej literatury był przedmiotem uprzywilejowanym: nad jego sumieniem, nad jego obyczajem, nad jego czystościa czuwał anioł bezsenny — karzący śmiech satyry. Ten śmiech był objawem zdrowia narodu i jednocześnie tego zdrowia rękojmią.

Patrzcie na tę bestję, patrz na łeb strzyżony,
Patrzcie, jakie w nim znajdziesz dziwne zabobony.
Patrzcie, jakie na szyi wiszą szalawary.
Jedno się tak ubiera on nasz djabeł stary.
Patrz wiary, patrz nauki, patrzcie nabożeństwa:
Jeśli na wszem nie znajdziesz jawnego szaleństwa.
Ale jeszcze ci więcej byli poszaleli,
Co te błazny bogacąc, za święte je mieli. [1])

Kler, kościół, teokracja bywa ostatnim z punktów, którymi owłada satyra. Bywa krańcowym, najdalej wysuniętym aktem odwagi. Gdy duchowieństwo staje pod światłem satyry, to znaczy, że już wszystkie warstwy narodu zostały prześwietlone. Kler bowiem bywa przewodnikiem największej obłudy, dlatego właśnie, że być może przewodnikiem i cnót największych. Ksiądz, gdy upada w grzech, upada zawsze z łoskotem, gdyż włazi na niebotyczne szczudła. Powołaniem kapłana jest świętość, rzecz niebiańska. Przeto więc sprzeniewierzenie się temu powołaniu bywa świętokradztwem, rzeczą piekielną.

---

[1]) Por. *Mikołaj Rey*: «Zwierzyniec»; «Mnich».

I jeszcze jeden wzgląd czyni z księdza postać dla satyry wyjątkową.

Przez kraty konfesjonału ściekają w duszę księdza grzechy całego świata polskiego, lub — prawie całego. Uszy więc księdza są ściekiem zbiorowych wad, słabości, upośledzeń, nędz i wstydów ludzkiego żywota. Na dnie duszy księżej gromadzi się bezcenny kapitał dla satyryka. Kto tedy rozgryzie sumienie i duszę księdza, ten pozna smak wszelkiej ułomności, która nas nęka, która w nas żyje.

Gdy ksiądz spowiada wszystkich, niechże satyra spowiada księdza, na wyższą ponad księdzem katolickim zdobywając się rangę kapłaństwa. Ksiądz w konfesjonale, jak pijawka, nasiąka brudem grzesznych wydzielin: niechże satyryk tę pijawkę, solą posypując attycką, uwolni od nadmiaru wessanego zła. Co zapadło pod pieczęć tejemnicy, niech znowu wydobędzie się na swobodę jawności, ale już na poziomie wyższej kategorji, już w charakterze wzoru, typu, uogólnienia, piętna palącego. Konfesjonał służy zadaniem zbawienia jednostki. Niech ponad nim wyżej stanie konfesjonał satyry i niech będzie organem zbawienia powszechności.

Nie można lekceważyć satyry. Ona bowiem stawi djagnozę stanu społeczeństwa. Słusznie utrzymuje Jan Lemański, iż poprzez satyrę naród najsnadniej dochodzi do samopoznania. „Tak samo, — powiada on [1]) — jak przyjaciół poznajemy raczej w nieszczęściu, niż wówczas, gdyśmy szczęśliwi, tak również siebie poznajemy lepiej, docierając do naszych wad, aniżeli wówczas, gdy łudzimy się pozorami naszych cnót".

By się przekonać, ile jest w tych słowach prawdy, wystarczy krótka uwaga. Kogo najłatwiej nam bywa chwalić? — Tego, kogo najmniej znamy. Im lepiej kogoś znamy, tym trudniej o pochwałę. Im zaś mniej go znamy, tym o nią tatwiej. Zachwycają nas zazwyczaj te kraje najwięcej, w których nigdyśmy nie byli. Te kobiety, których ani razu nie posiedliśmy. Najgorętszy panegiryk miłosny Słowacki wyśpiewał („W Szwajcarji") na cześć tej kobiety, w której sam nie wierzył istnienie. A boga — czyż nie przeto ludzie tak czczą, i chwalą, że wcale go nie znają, że go nikt nie zna, że nikt go pojąć nie może, ani rozumem, ani wyobraźnią, ani uczuciem nikt jego istoty ogarnąć nie zdoła? Ludzie tak dalece boga nie znają, że nawet tego o nim nie wiedzą, czy on jest, czy go niema: chwalą go więc bez granic, bez zastrzeżeń, opiewają jego dobroć, jego mądrość, jego doskonałość, albowiem jest on dla człowieka największą w świecie niewiadomą. Ale, na dobrą sprawę, skąd te zachwyty płyną? Czyż Bóg ludzki nie dlatego jest tak dobry i doskonały, że może wcale... nie istnieje?

A gdyby objawił się na ziemi, czyby go chwalcy dzisiejsi nie ukrzyżowali natychmiast między łotrami, jak już raz pono w historji się zdarzyło?

Pochwała tedy, zachwyt, oda lub panegiryk wykwitła na gruncie ignorancji. Wyrasta z odległości, dzielącej poetę od przedmiotu. Satyra natomiast na gruncie dogłębnego tylko poznania rzeczywistości wyrość może. Tylko z bezpośredniego opanowania przez poetę przedmiotu. Poeta liryczny doznaje poczucia pustki, gdyż stoi nad brzegiem przepaści; tej przepaści, która go oddziela od świata i życia. Satyryk natomiast oddycha poczuciem pełni: stoi w kręgu rzeczywistego świata.

Uwagi powyższe brzmią bluźnierczo. Ale-ć, gdy dokoła nas tylko kłamstwa czcigodne zajmują miejsca, warto jest do prawdy choćby za cenę bluźnierstwa dotrzeć. Poezja liryczna odprawia nabożeństwo niemal od stu lat przy ołtarzu narodowym. W i e r s z l i r y c z n y w naszych uszach brzmi niemal tak samo, jak c z y n p a t r j o t y c z n y. Liryczna tęsknota za krajem uchodzi na najlepszą postać służby dla kraju: więc każdy liryk na wiosnę jedzie do Włoch, aby z nad Tybru lub z Capri potęsknić mógł trochę za Polską, *na pożytek rodaków*. Chodzi o wytworzenie tego zbawiennego dystansu, o to błękitne oddalenie, które sprzyja zadumie a niweczy energję. Chodzi o sankcję dla lenistwa. Liryka polska błądzi oczami po niebie, dlatego, że ludziom i rzeczom boi się patrzeć w oczy. Tchórzostwem: oto, czym jest dzisiejsza liryka polska. Powstało mniemanie, że, aby zostać poetą lirycznym, wystarcza przebywać zagranicą; że, aby śpiewać o Polsce, wystarcza jej nie znać.

„U narodów, gdzie wolność, gdzie duch wykwitał najżywiej, — pisze Lemański [1]) — satyra miała przedstawicieli najtęższych: Arystofanes, Juvenalis, Horacy, Aretino, Boileau, Diderot, Moliere, Zola." U nas w Polsce rozkwit satyry przypada na wiek XVI oraz XVII: na erę największej prężości narodowej. Aby, natomiast, rozkwitła wielka poezja liryczna, aby mogła powstać Trzecia Część Dziadów, Anhelli lub Irydjon, musieliśmy przegrać bitwy pod Maciejowicami, pod Grochowem i pod Ostrołęką. Nie byłoby Pana Tadeusza, gdyby nie klęska w roku 1831. Mickiewicz nie tęskniłby za swoją Litwą, bo nie byłby jej utracił. My zaś, dzisiaj, nie

[1]) Por. *Jan Lemański* Satyra polska — Autologja, Nakład i druk S. Orgelbranda Synów.

[1]) Tamże, str. XVIII.

mielibyśmy poematu o Litwie, ale mielibyśmy Litwę. Tak zw. wielka poezja romantyczna jest niczym innym, jak uroczystym zeznaniem naszych klęsk, i to klęsk na wieki nie powetowanych, w znacznej części. Nasze wielkie podboje w dziedzinie liryki szły w parze z wielkimi pogromami w dziedzinie życia i rzeczywistości. Związek tu zachodzi tak ścisły, że terminy jednego szeregu zjawisk moglibyśmy wyrażać w terminach szeregu drugiego. Np. zamiast mówić *utraciliśmy Ukrainę*, moglibyśmy powiedzieć *zyskaliśmy Szumki i Dumki Zaleskiego*, oraz *vice versa*.

Gdy więc liryka jest wypiekiem gorączki na licach narodu, satyra jest rumieńcem żywotności. Koroną zaś poezji satyrycznej bywają satyry na duchowieństwo, zwłaszcza zaś na duchowieństwo katolickie. Renan powiadał o sobie, że jeśli coś-nie-coś udało mu się dowiedzieć o bogach, to zawdzięcza to usilności, z jaką przez długi czas podpatrywał sługi boże. Istotnie: czyż o słabostkach panów nie najlepiej poinformowani bywają ich pachołkowie? Duchowieństwo katolickie czyż nie najlepiej wie, do jakiego świętego jaką należy trafiać ofiarą, by w jego stronę słabą uderzyć? A tym samym, mając słabości bogów, orjentuje się najlepiej w siłach ludzkich.

Jan Lemański doskonale snadź zdaje sobie sprawę z doniosłości duchowieństwa, jako motyu i tematu dla satyry, gdy w olympijski spokój ubiera takim przepysznym ogniem gorejącą ironję: „Dziś duchowieństwo nasze już nie to, co dawniej (za czasów Reja). Tamto zginęło wraz ze zginieniem Rzeczypospolitej. Dziś wszyscy odradzamy się z upadku. Prześladowań za myśl swobodną dziś niema, dziś zapanowało ogólne dążenie do światła.“ Czyż nie tak powinno brzmieć *motto* do satyry na biskupów, którzy do § 73 dowołują się, aby niszczyć niemiłe sobie książki; którzy wyklinają włościan za demaskowanie nadużyć kleru; którzy podburzając lud do samosądów i pogromów przeciwko ludziom sobie niemiłym?

Czyż mnisi jasno-górscy rozbestwili się tak potwornie nie dlatego, że w ich progi klasztorne zawsze wstępowała pobożność, zawsze przed nimi serce klękało nabrzmiałe westchnieniami, a nigdy do drzwi nie zapukała satyra? Zawsze mieli przed sobą oczy psią zamglone ekstazą, a nigdy nie spotkali się z wejrzeniem oczu ostro widzących?

Iż nie zadzwonił nad nimi w porę śmiech satyry, tedy zadzwoniły nad ich głową — pałasze i łańcuchy.

JULJUSZ KADEN.

Śpiewak Ulicy.

W głębi podwórza — w studni kamiennej, ślimakiem pięter pod niebo cembrowanej, by z okien gruchnął tkliwy grad jałmużny, śpiewam — że: Na tym okręcie maszty strzaskane, a na tej lutni struny zerwane!

I idę dalej.

Nie patrz mi w oczy, mam oczy zdechłej ryby...

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną...

Jestem śpiewakiem!...

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście odeszli bracia?

Na jakich marach, ukołysany, zasnął wasz głos?!!

Nie patrz!... Suknię mam litą z błota i ulicznego brudu, kurzem przydrożnym sposobię gardło do śpiewu, wśród złotych ciągów spiekoty chłodzę mą krtań, na zimnie, chłodzie i mrozie grzeję mój zapał...

Suknię porwaną zwilżam upałem, suknię porwaną suszę w ulewie, suknię mam w dziurach, ciało mam w łatach — i śmiejem się...

Zarobić daj, jestem śpiewakiem...

Postaw niedojdę, postaw chudzinę, postaw gardłacza na twoje pańskie pole: Trupem skostniałym ustrzegę ci je.

Na zbytku siedzisz, tłusty kluczniku, nuda cię słodko pieści. Ciśnijże z okna w dół, z góry w dół i spluń w podstawną muszlę rąk, spluń kruszkę dobrobytu, strzepnij monetkę.

Dola chudziutka...

Gdzieście odeszli śpiewacy?

Dola chudziutka, dola cieniutka, dola dziurawa...

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać?!

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście posnęli bracia rodzeni, — na tym okręcie maszty strzaskane!!

Płuży ulicą samotny, wolny, a zda się ciągnie wór, a zda się ciągnie wóz, a zda się galary holuje...

Z głodów żarliwych, z nieprzemierzonych nędz, z haniebnej skruchy, z wilczej zawiści, uciułał sobie pieśń sobaczą. Pieśnią nabożną, litosną, pieśnią bezwstydnie wierzącą, ślini ten twardy, pański słuch, kulawą, chromą — cieszy opasłe ciało miłosierdzia.

Liże tą pieśnią zamknięte drzwi, zawarte okna, zakrzepłe mury, a u wysokich schodów pałacu, przed gmachem sądu, przed budą kary skomli i skuczy: okażcie litość w imię Tego, w imię którego mordujecie!

A pod tem słowem, a pod tym sensem,

a pod tą myślą, ryczy śmiech i gra dreszcz cierpki, gorzki...

Sława, ci świecie, niezmordowana chwała!!!

Nie patrz mi w oczy, mam oczy zdechłej ryby...

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną...

Śpiewak, — o miasto — całuję twe kamienie, piję twe ścieki, pieszczę twe zlewy, chłonę twój dym i smród, — ty łaskawe...

Gdzieście odeszli bracia, że was nie słychać, gdzieście pomarli?!

Śpiew mój — czarna sień, uciekaj! U wrót mego śpiewu, czeka cię śmierć!

Zapomnę, żeście są, zapomnę, żeście byli... Nie wiem co jest, nie wiem co było...

Niech znajdę tu chwilę wytchnienia...

Za sobą wlokę czarny wóz choróbsk, po drodze nałapanych. Za sobą taszczę wór niewoli i człapię ulicą w górę...

Nie znajdę w sobie chwilę ciszy...

Na tylnych łapach staję, — twój kundys czworonożny ośmiela się...

Na zadnich łapach stojąc, bebechy batem schlastane ryjąc, przednie łapy z głodu sysając, — kwaśne są, słone, pokrzepiające — szukam w twem sercu chwili wytchnienia.

Ty je masz, ty je znasz, ty się go uczysz.

Ty mądrość pijesz z opłaconych głów, ty cnotę skarbisz z wynajętych serc...

Ja kruszę straszny łom niewiedzy, ciskam się pod hukiem rozechwianych spraw, ja nieskończony, ja zaniechany, ja niepobudowany.

Ja nie znam ciszy, jestem śpiewakiem!!!

Kisnę pod murem twego kościoła, drę się błagalnie u wrót twoich kosztownych szkół, a moja żona jest płodna, a moje dzieci są płodne, a moje wnuki są płodne — nawozim ci twój bruk... Co też to z bruku wyrośnie?!.

Nie znajdę miejsca, nie zdybię chwili wytchnienia, wszystko jest we mnie naruszone, wszystko jest we mnie uszkodzone.

Na tym okręcie maszty strząskane, a na tej lutni struny stargane.

Jestem śpiewakiem!

Masz mnie, z tej krzywdy skarbię tę pieśń, jest twoja i tyś jej ojcem...

Na piersi syna wwalonej siadłeś, ma grdyka — jest twój gryf. Dławisz palcami, na herb sygnetu ścięgna nawijasz, przygniotłeś kciukiem...

Słuchaj, jak w pustym pudle muzyka twoje płuco targa, jak pęka nuta po nucie, oczko po oczku, jak z ust wymiata czerwone skrzepy pieśni.

Gwiazda gniewu pali się w ustach, żarzy w gardle.

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście usnęli bracia niemściwi?...

Nuże!

Przegryście łapę miłosierdzia, rozprujcie błonę współczucia.

Huzia!!

Na wygonach przedmieścia, wraz z nocą czarną, wyświecony tłum, wygnani, -- nuże! lejcie czarną smołę swych pieśni, wylejcie piersi.

Śpiew wasz — łuczywo, co łzami ognia płacze.

Pieśń wasza, — smoła zapalna.

Tej pieśni pierścień, — obręcz wielkiego ślubu.

Pędzcie śpiewacy!

Nuże!

Echo was czeka w duszach skrzywdzonych... Ze snu już pora!!

Uderzcie głosem w wasz luty los!!!

JAN LEMAŃSKI.

Gnoti Seauton [1].

Das Reich, das ich regiere, muss nach meinen Grundsätzen beherrscht, Vorurteil, Fanatismus, Parteilichkeit und Sclaverei des Geistes unterdrückt werden.

Z enuncjacji Józefa II.

6.

Stronniczość, rozdrobnienie na partje, fanatyzm i duchowe lokajstwo były w Austrji około roku 1780 tak widać rozwielmożnione, że Józef II po wstąpieniu na tron przedewszystkiem *im* wypowiedział walkę. Naprzód wziął się do cenzury, którą mocno ograniczył; potem odjął klerowi rząd spraw wychowawczych; zniósł 700 (wyraźnie siedmset) klasztorów, czyli zmniejszył armję zakonną o 36,000 habitów; zniósł procesje, odpusty i wystawianie relikwji; jednocześnie ogłosił akt tolerancyjny dla wszystkich wyznań chrześcijańskich; o małżeństwie miało odtąd stanowić państwo, nie kościół; nie pomogła nawet wizyta Piusa IV do Wiednia w 1782 r.); odjął dziedzicom prawo juryzdykcji nad chłopem, tak że odtąd wolno miało być chłopu żenić się wedle swego uznania i od pana swego odchodzić.

Ale te wszystkie reformy chciał Józef II przeprowadzić zbyt szybko i zbyt despotycznie, i dla tego upadł. Reformy zostały odwołane (z wy-

---

[1]) W poprzednim odcinku (w motto) omyłka: zamiast *austrjacki narodowy wirtuoz*, powinno być: *unarodc- -ony przez gust austrjacki.*

jątkiem kasacji poddaństwa chłopskiego i oprócz aktu tolerancyjnego).

Stąd wypływa nauka, że różne akty monarsze, różne enuncjacje i manifesty, zaprowadzić mające nowy w państwie, lepszy ustrój, kończą się tychże reform odwołaniem, albo i czemś gorszem — reakcją.

Ani panowanie Józefa II, ani jego brata Leopolda II (1790—1792) nie należało do okresów politycznie udatnych. Austrja zapomniała, że jej zadaniem jest tylko żenić się i być szczęśliwą *(tu, Austria felix, nube!)*. Wdała się w jakieś reformy wewnętrzne i los ją ukarał: przy drugim podziale Polski (1793) nie dostała nic. Nie dość na tem, straciła jeszcze w wojnie z rewolucyjną Francją—Belgję. Dopiero się upamiętała i zaczęła robić w polityce swojej poprawki. Los, który też wyznaje austrjacką zasadę stałą: *beati possidentes*, nastręczył jej ministra Thuguta, zaborcę Polski, dzielonej właśnie w r. 1795 ostatecznie. Za utratę Belgji — Galicja zachodnia. Bo przecież Polska w pewnej epoce była jakby kopalnią złota, wynagradzającą sąsiadów za ich straty gdzieindziej. Taki los.

Ale i taki los miewa czasem wyrzuty sumienia. Przeciwko Thugutowi zesłał Bonapartego, który w bitwie pod Marengo (1800) a potem pod Austerlitz (1805) zmusił Austrję do odkrajania ze swego płaszcza Wenecji i Tyrolu z Voralbergiem. Nie bez znacznej przykrości również Austrja musiała wyzbyć się tytułu rzymsko-niemieckiego cesarza (1806). Franciszek I (1804—1835) jest już tylko dziedzicznym cesarzem austrjackim. A kiedy się przeciwko temu obrotowi fortuny usiłuje Austrja buntować, uczy się rozumu pod Wagram (1809) i przekonywa, że kto się gwałtem chce odegrać, traci jeszcze więcej. Straciła Salzburg, Krainę, Gorycję, Trjest, część Kroacji, Dalmację i część wydartej Polsce Galicji, i musiała zapłacić 85 miljonów guldenów kontrybucji.

Zdaje się, że los tym razem w pognębieniu Austrji przeholował. Nie, rzekł, jeszcze nie czas gubić państwo, które według snu jednego z jej władców ma rządzić całym światem *(Erit Imperium Orbis Universi)*.

To mówiąc, zesłał jej Metternicha.

Tu, felix, Austria, nube!—przypomniał sobie ten mąż opatrznościowy odwieczne hasło austrjackie, i ożenił Napoleona z Marją Ludwiką Franciszkówną Habsburżanką (1810).

Co do Napoleona, ten znów zapomniał o innem orzeczeniu w formie łacińskiej, mianowicie: *Timeo Danaos et dona ferentes*, zapomniał, że dar od wroga nie wróży niczego dobrego.

Jakoż przekonała go o tem katastrofa roku 1812 i 1813, w którym gwiazda jego napoleońska (pod Lipskiem) zgasła,

Po kongresie wiedeńskim (1815) skończył się Napoleon. Europą zaczął rządzić Metternich (i rządził do roku 1848).

Ale o ile Napoleon był świetlany, bohaterski, swobodny, szczery i działający piorunem czynu na rzecz swoich marzeń płomiennych, o tyle Metternich był jego antytezą: duchem był ciemnym, podstępnym, wyrachowanym i działającym chytrze na korzyść swoich w alembiku zimnej ambicji wydystylowanych planów absolutystycznych.

Polityka Metternicha to systematyczne gnębienie swobodnych przejawów ducha we wszystkich dziedzinach, tak w życiu codziennie realnem, jak i w literaturze. Cenzura metternichowska, tępiąc brutalnie kult myśli głębszej, pozwalała zaledwie karmić się teatrem i muzyką. [1])

Teatr i muzyka — oto dwa rodzaje sztuki, nadające się do uprawiania ich, nawet w najgorszych, najbardziej upadlających warunkach, nawet w więzieniu.

Teatr i muzyka — oto dwa trunki, dwa narkotyki, dwa tumany, zaścielające duszę i oddające ją na żer słodkiemu omdleniu i miłej usypiającej prostracji.

Teatr i muzyka — oto dwa bawidełka, uweselające oczy i uszy tych, za których myślić podjął się sam wielki austryjacki stręczyciel — Metternich.

Historja to nauczycielka życia!

OTTO.

Wrażenia.

G.—K. CHESTERTON: «Delegat anarchistów». Powieść.

Rzecz drukowana w roku zeszłym *w Prawdzie*, obecnie ukazała się w wydaniu książkowym. Bije z niej piękna i zuchwałą myśl, że najszczytniejszą modlitwą, na jaką człowiek zdobyć się może w obliczu boga, jest odwaga i heroizm walki. W numerze następnym *Prawdy* podamy studjum o Chestertonie p. Romana Zrębowicza.

---

[1]) Historyk niemiecki powiada: «*Die geistigen Interessen der Wiener Bevölkerung gingen kaum über das Theater und musikalische Genüsse*».

Książki nadesłane do Redakcji.

Giosue Carducci: «O rozwoju literatury narodowej». Słowo wstępne Wł. Jabłonowskiego. Przekład Heleny Grotowskiej. «Muzy»—bibljoteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza. Str. 250.

Adam Mahrburg: «Pisma filozoficzne». Pod redakcją Wł. Spasowskiego. Tom I, z portretem i życiorysem. Warszawa 1914. Nakładem F. Hoesicka. Str. 260.

Oskar Wilde: «Salome». Rysunki Aubrey Beardsley'a. Przełożył i wstępem poprzedził Leon Choromański. Nakładem F. Hoesicka. Str. 58.

Ks. Józef Sas T. J.: «O Skardze, największym wichrzycielu Rzeczypospolitej». Przemyśl 1913. Str. 106.

Leon Daudet: «Fantomes et vivants». Souvenir de milieux litteraires, politiques, artistiques et medicaux, de 1880 à 1905. Paris.

Gustaw Flaubert: «Trzy opowieści». W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza. «Muzy». Str. 180.

Cecylja Walewska: «Flirt. Małżeństwo. Opinja.» Warszawa, 1914. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pracowników księgarskich. Składy główne: Warszawa — Gebethner i Wolff; — Kraków Gebethner i Sp. St. 348.

Orsyd (Anna Limprechtówna): «Własną drogą». Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. St. 340

Rudolf Eucken: «Wielcy myśliciele i ich poglądy na życie». Zagadnienie życia ludzkości w rozwoju dziejowym od Platona do naszych czasów. Z przedmową autora do wydania polskiego. Z 10-go wydania oryginału niemieckiego przełożył dr. Adam Zieleńczyk. Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1914. St. 432. Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp. Odbito czcionkami Drukarni Naukowej w Warszawie, (Mazowiecka 8).

Tadeusz Konczyński: «Bunt». Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa Warszawa 1914. Lnblin — Łódź — Kraków — New-Jork.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1914. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork. Str. 278.

Piotr Jan de Béranger: «Piosenki». Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II: Str. 205+196. «Muzy» — biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza.

Ofiary.

Na pomoc studentowi rb. 30.

Na kolonje letnie rb. 58 kop. 96.

od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

Lud. Wasilewski rb. 15, F. Jabłkowski rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, J. Rzewnicki rb. 6, S. Klingenberg rb. 6, S. Prauss rb 5, S. Pilarski 4, S. Poradowski rb. 3, I. Tomaszewski rb. 3, S. Hegner rb. 1, H. Cywiński rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, J. Rayski rb. 1, B. Świestowski rb. 1, A. Hoppen rb. 1, R. Świetliński rb. 1, K. Prauss rb. 1, S. Hahn rb. 1, S. Harland rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, W. Popiel kop. 50, S. Słojewski kop. 50, W. Zieliński kop. 46, I Nowicki rb. 1. Ogółem rb. 88 kop. 96.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.